

P. Maria Grzędzińska

GRZED 83

Maria Grzędzińska

Archiwum Wschodnie 38

~~Relacja nagrana najsamym 18 czerwca 1988 roku.~~

 ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłam się 7 grudnia 1906 r. w miejscowości Grzymałów pow. Skałat (w okresie międzywojennym województwo tarnopolskie/. Ojciec, Władysław Leon, z zawodu sędzia, polityk, działacz stronnictwa PSL-Piast, poseł na Sejm Ustawodawczy, w roku 1921 przez krótki okres minister. Zmarł w r. 1925.

Matka, Maria Ludwika, z domu Wolff, zmarła w r. 1968.

Studiowałam filologię polską na Uniwersytecie Lwowskim w latach 1925-1931. Po ukończeniu studiów uczyłam języka polskiego w różnych miejscowościach województw wschodnich.

Do ZWZ wstąpiłam 15 listopada 1941 roku we Lwowie. Przy sięgę odebrał por. Andrzej Schmidt ps. "Marian". W AK pełniłam funkcję łączniczki. Przełożonym był major Franciszek Domurat ps. "Sławiński". Wiosną 1943 r. Domurat został aresztowany. O tym fakcie powiadomiłam Schmidta i utrzymałam kontakt z oddziałem. 31 sierpnia 1943 r. zjawił się nowy dowódca płk Leopold Piątkowski ps. "Bohdan". W marcu 1944 r. został aresztowany nasz radiooperator sierżant Józef Sosnowski ps. "Maria". Pod koniec czerwca tego roku zostałam zdekonspirowana na skutek zeznań innego członka organizacji używającego pseudonimu chyba "Jastrzębski". Wówczas zdążyłam jeszcze zabezpieczyć archiwum naszego oddziału i musiałam się ukryć. Archiwum przekazałam Halinie Oriolowej ps. "Wrzos", córce Franciszki Oriolowej ps. "Len". Ukrywałam się u sióstr sercanek aż do zajęcia Lwowa przez władze radzieckie. Na tym skończyła się moja czynność służbowa w AK.

Aresztowana zostałam 20 czerwca 1945 r. w związku z zeznaniami księdza Mokrzyckiego Jana, uwięzionego wcześniej wspólnie z Franciszką Oriolową ps. "Len".

Jego zeznania musiały być dość chaotyczne, ponieważ w śledztwie wypytywano mnie o osoby z którymi nigdy się nie kontaktowałam. Okazało się też, że bardzo dużo wiedziano o działalności mojego oddziału. Bez wątpienia przyczynił się do tego fakt, że po aresztowaniu Franciszki Oriolowej wykryto u niej archiwum oddziału, które wcześniej jej przekazałam. W każdym razie byłam na tyle przytomna, że nie pozwoliłam na rozszerzenie śledztwa dalej poza moją osobę.

Moje więzienie we Lwowie przy ul. Łąckiego trwało od czerwca 1945 r. do lutego 1946 r. Siedziałam w celi wspólnie z Zofią Lechowicz ps. "Dewajtis", czyli obecną panią Wiszniowską, Henryką Grossek ps. "Patrycja", z Ireną Staszyńską, Józefą Ziembicką i innymi jeszcze osobami. Henryka Grossek to była sekretarka, łączniczka w centrali lwowskiego BIP-u. Natomiast Józefa Ziembicka, wdowa po oficerze znana była z wyszukiwania lokali na cele konspiracyjne. Przypadkowo, bo na skutek omyłki dyżurnych podających paczki do cel, dowiedziałam się o aresztowaniu Henryki Głód, którą znałam wcześniej z instytutu przeciwtyfusowego prof. Rudolfa Weigla, gdzie pracowałam jako preparatorka. Henia Głód w czasie wspólnej pracy umilała nam nudne preparowanie weszek pięknym śpiewem. W czasie pobytu w lwowskim więzieniu utrzymywałam kontakt z matką, która przynosiła m.in. paczki żywnościowe.

W lutym 1946 r. mnie, Staszyńską, Ziembicką, panią która chyba nazywała się Głowaczewską /pochodziła spod Szczerca/ w gronie licznych Ukrainek przewieziono do więzienia w Złoczowie. Mieściło się ono na zamku. Tam przebywałyśmy przez całą wiosnę, a ósmego czerwca 1946 roku /datę tą pamiętam dokładnie/ otrzymałam zaoczny wyrok ośmiu lat obozu. Wyrok zakomunikowano mi ustnie i nigdy potem nie otrzymałam pisemnego potwierdzenia. Do więzienia w Złoczowie przynoszono nam paczki. Wyróżniali się tu państwo Sawiccy:

Włodzimierz i Joanna oraz pani Medyńska.

Po otrzymaniu ustnego wyroku, oddzielono mnie od dotychczasowych współtowarzyszek. Znalazłam się w innej celi z innymi współwięźniarkami. Po kilku dniach załadowano nas do pociągu /wagony nosiły nazwę "stołypinki"/ i przewieziono do Lwowa do obozu przy ulicy Pełtewnej. Obóz ten z zewnątrz znałam, gdyż przebywał w nim zimą poprzedniego roku /1945/ mój brat Władysław Grzędzielski ps. m.in. "Leon", "Bożyk", "Andrzej", aresztowany w procesie delegatury lwowskiej. Brat był przez pewien okres naczelnikiem lwowskiego BIP-u, potem szefem Biura Delegatury Lwowskiej. W 1946 roku wywieziony na Wschód, chyba do Zagłębia Kuźnickiego, gdzie zmarł prawdopodobnie w r. 1948.

Obóz przy ul. Pełtewnej to było takie małe piekiełko, bo zetknęliśmy się z przebywającymi tam na pół swobodnie najgorszymi elementami aresztowanych Rosjan. Była tam oczywiście pewna liczba przyzwoitych żołnierzy aresztowanych np. za niesubordynację, ale na ogół była to tzw. "żulja".

Podobnie było z kobietami, częściowo pochodzącymi ze służb pomocniczych wojska. Niektóre z nich, chyba na skutek przeżyć frontowych, zdradzały objawy ciężkiej hysterii. One były jeszcze stosunkowo najlepsze, bo się wykrzyczały i był spokój. Najgorsze były "małolatki", poniżej 18 roku życia, zdegenerowany element pętający się za wojskiem. W czasie pobytu w tym obozie chorowałam na tyfus. Po około 2 tygodniach pobytu na Pełtewnej nastąpił wymarsz na dworzec towarowy. Eskortowała nas straż z psami. Na dworcu przesiedzieliśmy chyba dobrą, po czym nastąpił wyjazd. Jechałam w towarzystwie niewielkiej ilości Polek m.in. z panią Głowaczewską i z poznaną w obozie na Pełtewnej Krystyną Dumicz. W transporcie były Ukrainki, czyli tzw. "bandera" no i grono bardzo zadzierzystych Rosjanek. Ukrainki były bardzo dobrze wyposa-

żone w ubrania, żywność itp. Odwrotnie było z Rosjankami. W związku z tym Rosjanki starały się rabować. Jeden napad rabunkowy nastąpił jeszcze w obozie na ul. Pełtewnej, następny w czasie transportu. Jechaliśmy tak kilka dni, nawet nie mogłam określić ile. Pewnego ranka, kiedy się obudziłam Ukrainki powiedziały, że przejechaliśmy olbrzymią rzekę. To oczywiście był Dniepr. Tak dojechaliśmy do Zagłębia Donieckiego i wysiedliśmy w miejscowości, która nazywała się Brianka.

Obóz składał się z kilku murowanych baraków otoczonych kolczastym płotem. Dookoła widać było liche drzewa i stożki hałd węglowych. Jeśli chodzi o wyżywienie w tym obozie, to było potworne. Myślę jednak, że nie łączyło się ono ze specjalnym sadzmem Rosjan w stosunku do nas, lecz ze straszliwą biedą jaka tam wszędzie panowała.

Chodziliśmy do pracy w różne miejsca. Przykładowo powiem, że pracowaliśmy w zakładzie budowlanym, w którym wyrabiano się cegły. Było też wnoszenie gruzu z rozwalonej poczty.

Popadłam wtedy w stan dezorganizacji fizycznej. Nogi miałam jak konewki, na dodatek poparzone niegaszonym wapnem. Wychudłam zupełnie. Był to bardzo lichej stan. Krystyna Dumicz nie wytrzymała tych warunków i po dwóch miesiącach zmarła. Była to młoda dziewczyna ze Lwowa. Bliżej nie miałyśmy czasu się poznać. Biedaczka była w stanie zupełnego zmuzułmanienia /zmuzułmanienie: wg gwary obozowej oznacza stan ostatecznego wyniszczenia fizycznego i zlamania psychicznego/.

Moim towarzyszem obozu w Briance był poeta Jerzy Hordyński, wówczas "nieukończony" polonista./Studia ukończył na UJ w Krakowie dopiero po powrocie z zesłania/. Była też pani Głowaczewska, jakaś pani o nazwisku Makowska oraz inna o nazwisku Kominek. Jerzy Hordyński został chyba w sierpniu zabrany do innego obozu w tej samej miejscowości. Miejsce to nazywało się Brianka-Rudnik.

Właściwie to były dwa punkty tego samego obozu z tym, że w Briance-Rudniku przebywali słabsi. Na jesieni przybyły do Brianki nowe transporty więźniów. Były to Rosjanki i Ukrainki. W związku z tym zjechała komisja i zaczęła rozdzielać więźniów. Przygotowywano w ten sposób nowe transporty, które prawdopodobnie miały odejść do Workuty i innych miejsc.

Ja, zaliczona do słabszych, zostałam przeniesiona do Brianki-Rudnika, gdzie już znajdował się Hordyński. Tam w pierwszym rzędzie dostałam się do szpitala. Po drugie dzięki znajomościom Hordyńskiego nawiązałam kontakt z państwem Olszewiczami we Lwowie. Pan Wacław Olszewicz w czasie wojny pracował w Ossolineum i we Lwowie pozostał nadal, mimo że Lwowianinem nie był. Zawiadomił on moją rodzinę w Krakowie. Od tej pory zaczęłam otrzymywać pomoc z domu. Oprócz tego muszę dodać ciekawy szczegół, że przez cały czas pobytu w obozie posiadałam legalnie sporą ilość pieniędzy. Jak do tego doszło? Mianowicie na początku 1945 roku znajoma moja - pani Zofia Łosiowa poprosiła żebym ukryła organizacyjne 30 tys. rubli. Kiedy mnie aresztowano, to ten plik pieniędzy znaleziono. W tej sytuacji nic innego nie mogłam powiedzieć tylko, że te pieniądze są moją własnością. W rezultacie przez całe śledztwo bałam się, że będę bita z tego powodu, a tymczasem dostałam kwit na nie. Więc ja i Hordyński korzystaliśmy z tych pieniędzy trochę, póki się nie zdewaluowały. W jaki sposób korzystaliśmy z nich? Otóż zarządca obozu- więzień mający tytuł nariadczyka zaproponował abym kupiła harmonię. Taka harmonia sztyftowa nazywała się po rosyjsku bajan. Kupiłam więc najpierw harmonię, a później radio. W związku z tymi "inwestycjami" ja i Hordyński zostaliśmy dyżurnymi świetlicy obozowej. Dzięki temu słuchaliśmy radia z Londynu. Na przestrzeni długiego czasu byliśmy w naszym obozie jedynymi Polakami, gdyż inne osoby tak przemknęły tylko, wychodząc na wol-

ność bądź zmieniając miejsce pobytu. Hordyński interesował się działalnością artystyczną obozu i dopóki nie zjawił się specjalnie do tego przeznaczony funkcjonariusz on organizował nawet wieczorki świetlicowe. Między innymi całkiem dobrze recytował rosyjskie wiersze. A ja zostałam tak jakby stałą dyżurną świetlicy. Pewnego razu, gdy słuchaliśmy radia z Londynu Hordyński wyjrzał przez okno i mówi: „Ój się Boga! idzie do nas całe „naczalstwo” obozu. Wobec tego przekręciliśmy gałkę radia na Moskwę.

A jak weszło „naczalstwo” musieliśmy mieć dość głupie miny, tylko oni to sobie raczej opacznie wytłumaczyli. Opaczność ta polegała na tym, że podejrzewali mnie i Hordyńskiego o romans. Przyczym nie można powiedzieć, żebym ja w ówczesnym moim stanie nadawała się do tego, bo wyglądałam staro i brzydko. Dowodem jednak na to, że władze obozu nasze zachowanie przy radiu uznali za przejaw romansu był fakt następujący: mianowicie kiedy Hordyński poszedł do naczelnika w jakiejś swojej sprawie, ten go zagadnął o sprawy sercowe. A Hordyński odpowiedział: „Grażdanin naczelnik, jeśli by mnie dali samuju krasiwuju ženszczinu mira i misku gustoj bałandy, ja by izbrał bałandu.”

128 [Za pieniądze, które posiadałam udało mi się wówczas kupić Hordyńskiemu buty, gdyż były mu bardzo potrzebne. W czasie przebywania w więzieniach i obozach stykałam się ciągle z Ukrainkami i Ukraincami. Zdarzały się między nami dyskusje polityczne często nieżyczliwe. Natomiast nie spotkałam faktu żeby Polak Ukraincowi i Ukrainiec Polakowi szkodził w śledztwie. Tutaj panowała jakaś swoista lojalność. W czasie pobytu w obozie, muszę to stwierdzić, miałam niektórym Ukrainkom wiele do zawdzięczenia. Po prostu okazały mi serce i pomoc.

[W obozie Brianka-Rudnik przebywałam ponad półtora roku i otrzymałam już listy z kraju. Pewnego razu cenzorka obozowa, Azerbej-

dżanka wezwała mnie do siebie mówiąc, że nie rozumie czegoś w liście, który otrzymałam. List był od pana Olszewicza ze Lwowa. Pisał on, że nazwisko moje jest na liście ambasady polskiej w Moskwie. Otóż po rosyjsku ambasada to poselstwo i tego cenzorka nie rozumiała. Pozwoliła mi jednak list przeczytać ale zabroniła komukolwiek o tym mówić. List zabrała. Oczywiście Hordyński dowiedział się ode mnie o treści listu.

Umieszczenie mojego nazwiska na liście ambasady polskiej łączyło się z tym, że latem 1947 roku rejestrowano Polaków przebywających w obozach, a chcących wrócić do kraju. Bo okazuje się nie wszyscy Polacy chcieli wracać do Polski. Był np. jeden stary Polak spod Kamieńca, który miał tam swój grunt, więc ten do Polski nie chciał jechać, co jest zrozumiałe. Ostatniego sierpnia 1948 roku otrzymaliśmy wiadomość o możliwości powrotu do Polski. Nieco wcześniej jednak mieliśmy jeszcze małą przygodę. Mianowicie dość niespodziewanie załadowano znaczną ilość więźniów do samochodów ciężarowych i przewieziono, rzekomo na zmianę miejsca pobytu do Lisiczańska. Jechaliśmy do tej miejscowości taką trasą, że przejechaliśmy rzekę Doniec i znaleźliśmy się w strefie gdzie krajobraz był piaszczysty z sosnowymi lasami. Wynika z tego, że musieliśmy przejechać znacznie na północ, ponieważ w Briance był krajobraz o charakterze stepu parkowego. W okolicy Brianki nie było lasów, lecz drzewa takie jak topole, osiki, jesiony rosły w kępach.

Po dojechaniu do Lisiczańska dowiedzieliśmy się, że nas tam nie chcą przyjąć. Wróciliśmy więc spowrotem. Jednym słowem mieliśmy rodzaj "wycieczki turystycznej", co nawet nie było nudne.

Ostatniego sierpnia zaczęłam się szykować do wyjazdu z Brianki. Sprzedałam tutaj radio, natomiast harmonię wzięłam ze sobą. Wyjechaliśmy samochodami ciężarowymi w stronę chyba wschodnią.

Przejeżdżając po drodze przez osadę Ołczewskoje znaleźliśmy się w Woroszyłowgradzie nad Ługanką. Było to stołeczne miasto obłasti, obwołu, w naszym rozumieniu miasto wojewódzkie. Zakwaterowani byliśmy w obozie przyfabrycznym. Pewnego razu wszedł do nas oficer do spraw kulturalnych, który kiedyś odwiedzał nasz obóz w Briance i zaproponował mnie oraz Hordyńskiemu abyśmy zajęli się pracą kulturalną w obozie. Kiedy powiedzieliśmy, że nie zostajemy w obozie, lecz wracamy do kraju, on popatrzył i nic nie mówiąc wyszedł. Jerzy wysunął z tego taki wniosek, że my nie wracamy pewnie do Polski, lecz wiozą nas na Sybir i nie ma z czego tak się cieszyć. Ponieważ ja się tym nie przejęłam więc mówiłam: "O Boże jak powiozą, to powiozą, dziury w niebie nie będzie, będzie co ma być". To przekonało Jerzego, że jednak wracamy do Polski. Bo ja to nie miałam najmniejszych wątpliwości, że zsyłka nasza się kończy. Podobna reakcja wystąpi u Hordyńskiego jeszcze w Brześciu. Jest ona dowodem na jego dużą wrażliwość i wyobraźnię. Po krótkim pobycie w Woroszyłowgradzie pojechaliśmy do Charkowa. W czasie tej podróży nabawiłam się zapalenia okostnej. Do Charkowa dojechaliśmy wczesnym rankiem i przebywaliśmy tam dwa do trzech dni. W Charkowie spotkałam Polkę - panią Anielę Wasylkowską pochodzącą z Kołomyi. Spotkanie to miało dosyć ciekawe konsekwencje, dlatego opowiem pokrótce tą historię.

Pani Wasylkowska jechała do Nowosybirsk na sąd. Jechała tam dlatego, ponieważ wcześniej na własną rękę opuściła to miasto powracając do Kołomyi z zamiarem przedostania się stąd do Polski. Została jednak aresztowana. Podałam jej jaki może być kontakt ze mną i kiedy już wróciłam do Krakowa korespondowałam z nią. Na razie pani Aniela była w tym położeniu, że straciła kontakt z czworgiem dzieci. Miała dwóch synów i dwie córki. Była wdową po leśniczym i czuła się zupełnie zagubiona w świecie. Ponieważ udało mi

się sprzedać w Woroszyłowgradzie harmonię, więc mogłam ją trochę zaopatrzyć w pieniądze. Do sprawy pani Wasylkowskiej jeszcze powrócę. Ciekawe było również spotkanie w Charkowie z pewną Rosjanką, która miała polityczny wyrok 25 lat więzienia. Była to 29-letnia bardzo kulturalna osoba pochodząca z Leningradu. Nazwiska jej nie pamiętam. Jechała na 25 lat zesłania z bardzo ponurymi horoskopami, był to bowiem dla kobiety straszny wyrok. Być może jednak, że późniejsze amnestie coś jej z tego wyroku zdjęły.

Z Charkowa wyjechaliśmy w godzinach wieczornych pociągiem, a nie jak dotychczas ciężarówkami. Po całodobowej podróży dojechaliśmy do Homla. Tutaj dosiadły do nas Polki wracające z Uralu. Były to: Wanda Skulska, obecnie mieszkająca w Krakowie, pani Nowakowska z zawodu stomatolog, Jasia Stebnicka. Więcej nazwisk nie pamiętam, gdyż to były bardzo krótkie kontakty. Dalsza trasa podróży wiodła przez Mińsk, Baranowicze do Brześcia.

W Brześciu znaleźliśmy się w obozie jeńców niemieckich, którzy też prawdopodobnie mieli wracać do swojego kraju. Był wśród tych Niemców lekarz dentysta, który mnie wreszcie wybawił z zapalenia okostnej, wrywając bez znieczulenia ząb. Była też w tym obozie grupka Polaków, z którymi bardzo krótko się widziałyśmy. Mieli oni być wysłani na wschód. Byli to chyba uczestnicy grup działających w podziemiu w Polsce w latach 1946, 1947. Wydaje mi się nawet, że były to rozbitki Narodowych Sił Zbrojnych. Ja nie miałam z nimi bliższego kontaktu.

Gdy nadszedł czas przekroczenia granicy na Bugu, poddano nas przede wszystkim dokładnej rewizji. W związku z tym musiałam użyć podstępów, ażeby wszystko co napisałam w "Donbasie", a były to przeważnie "żałosne" utwory literackie przedostać jednak do Polski. Pod jakimś tam pretekstem już po rewizji wróciłam do obozu i tam

młoda Polka Stasia Guszpítówna wręczyła mi te wszystkie papiery i jakoś je przemyciłam. Oprócz rewizji trzeba było podpisać zobowiązanie, że się nie ma najmniejszej pretensji do Związku Radzieckiego i że się o niczym, co tam było nikomu nie powie. To oczywiście, że zobowiązanie to należało podpisać, gdyż innego wyjścia nie było. Ale mój towarzysz Jerzy trochę sobie rozegrał wyobraźnię i powiedział mi tak: jeśli ja podpiszę, to napewno każą mi pełnić służbę wywiadowczą przeciwko Polsce, a ja wolę wrócić na Sybir i nic nie podpiszę. Oczywiście to była fantazja.

Potem przetrzymali nas jeszcze całą noc w wagonach. Hordyński przychodząc do wagonu kobiecego narzekał mówiąc: ja już z tymi ludźmi nie wytrzymam. Oni tylko się martwią o to czy dostaną pajdę chleba czy nie. Jest to przykład psychiki ludzi uwięzionych, których myśli czasem krążą wokół podstawowych spraw egzystencjalnych.

30 września 1948 roku przejechaliśmy przez Bug i znaleźliśmy się w Białej Podlaskiej. Przywitano nas tutaj bardzo przyzwoicie. Dostaliśmy kolację, kwatery. Cały dzień upłynął na wypoczynku, a trzeciego dnia rano rozdzielono nam wielkie "unrowskie" paczki po jednej na osobę. Otrzymałam bezpłatny bilet do Krakowa, wsiadłam do pociągu i jechałam. I dalej to wszystko było już raczej proste.

Powrócę teraz do dalszych losów pani Wasylkowskiej, którą spotkałam w Charkowie i której dałam swój adres. Pisywała do mnie listy do Krakowa. Dowiedziałam się więc, że otrzymała wyrok kilku lat więzienia. Nie był to wyrok polityczny, lecz tzw. bytowy, czyli o wykroczenie przeciw administracji.

Z początkiem jesieni 1955 r. znalazła się w Krakowie. Zaraz zgłosiła się do mnie i zaczęłyśmy radzić w jaki sposób trafić na ślad jej dzieci. Moja znajoma, wdowa po profesorze Józefie Feldmanie

miała telefon i zaczęła dzwonić do wszystkich, o których wiadomo było, że mogą mieć wiadomości o Truskawcu, gdzie jedna z córek pani Wasylkowskiej przebywała./Truskawiec, to znana podborysławska miejscowość kuracyjna/. Wreszcie udało się znaleźć pana, który w Truskawcu był i mógł coś wiedzieć. Pan ten przebywał w Gliwicach czy w Bytomiu. W każdym razie po tygodniu otrzymałam od pani Wasylkowskiej cudowny telegram: "Wszystkie dzieci odnalazłam. Dziesięcioro wnucząt."

Jeśli chodzi o mnie, to po powrocie do Kraju pracowałam między innymi w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, następnie w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Moja wcześniejsza przynależność do AK i pobyty na zesłaniu były w latach pięćdziesiątych przyczyną trudności w staraniach o podjęcie pracy w szkolnictwie wyższym.

Relacje nagrane 18 czerwca 1988

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Wzór Nr. 4

(wydaje się kobietom, dzieciom
i mężczyznom powyżej lat 50)

Punkt Przyjęcia
w *Ziutej Podlaskiej*

Przepustka № 421593

Wydana ob. *Grzydrielska Elżbieta c. Władysława*
(nazwisko, imię, imię ojca)
ur. 7 XII 1906 r. Grzymatów p. Skalat woj. tarnopolskie
(data i miejsce urodzenia)
przybywającemu (ej) z terytorium *Z. S. R. P.*

Ob. *Grzydrielska Elżbieta* przeszedł przez Punkt Odbiorczy
w *Ziutej Podlaskiej* dnia *1 października 1948 r.*
i udaje się do swojego miejsca zamieszkania w *Strakowie*

(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia *5.V.45 r.* wyżej
wymieniony (a) ma pierwszeństwo i prawo jednorazowego bezpłatnego prze-
jazdu wszelkimi środkami lokomocji do *Strakowa*.

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej
idącej pomocy okazanej (ej) niniejszego.



Kierownik Punktu Odbiorczego

Wydano dnia *1 października 1948 r.*

Ważne do dnia *14 października 1948 r.*

w *Ziutej Podlaskiej*
Dług

P.U.R. BIAŁA PODLASKA

Wydał zaświad. kolej. Nr. 46962

St. kol. Kraków

Da. 27.8.48 Podpis: [Signature]

POW. ODDZ. P.U.R. w Białej Podlaskiej

Wydał [Signature] imię [Signature] K. ur. [Signature] 1 p. [Signature] 1 p. [Signature] 1 p. [Signature]
[Signature] [Signature] [Signature] [Signature] [Signature] [Signature] [Signature] [Signature] [Signature] [Signature]

Data 27.8.48 Podpis [Signature] przybył do [Signature] przybył do [Signature]
jedną [Signature] 1 p. [Signature]

WOJEWÓDZKI ODDZIAŁ
PAŃSTWOWEGO URZĘDU REPATRIACYJNEGO
Punkt Elapowy w Krakowie
Rejestr. data 4. X. 1948
Nr. 65991 [Signature]

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
Pełnomocnik na Miasto Kraków
[Signature]
[Signature]
[Signature]
[Signature]
[Signature]

Zł. 2000
słownie zł. dw. tys.

Wypłacono tyt. zapom. dorz. i
wpisano pod pozycją

w P.U.R. Pow. Oddz. Elap. Podl.
2/10-48 Podpis [Signature]

Powiatowy [Signature] w Krakowie
Wypłacono zapom. dorz. na zł. 1.110

Podpis [Signature]
L. 348 data 12.8.48

Wypłacono [Signature]

Państwowy Urząd Repatriacyjny
Dr. Górcz. [Signature] [Signature]
Relacja do [Signature] [Signature]
R. [Signature] [Signature]

Hydano sześcioro do. h. 0 [Signature]
ura na 2 tyg. okres. od [Signature]
Pan [Signature] [Signature]
Wojewódzki Oddział w Krakowie

Łasim. Nr. 20759
Przejazd jednorazowy wykorzystany
[Signature] [Signature]